

Genowefa Klauzer, ur. 13. 1924 r. w miejscowości Planty, pow. baranowicki, woj. nowogródzkie. Ojciec Stanisław Biało-brzeski, matka Stefania. Mieszkaliśmy tam od 1922 roku. Ojciec był osadnikiem wojskowym, musiał sam wykarczować każdy kawałek pola, wybudować się. Ojciec pochodził z województwa warszawskiego /obecnie ostrołęckie/, matka również stamtąd. Przyjechali spod Warszawy sami, dorabiali się. Zaczynali od szałasów, potem wybudowali małą chatkę, potem większą. Ci miejscowi - ruscy przychodzili, dziwili się, że gdzie tu w takich mokradłach, w zalesionym terenie można mieszkać. Łąki było dużo, ale wszystko trzeba było osuszać, kopac rowy, kosiło się czasami po wodzie.

W najbliższym sąsiedztwie byli tacy sami osadnicy wojskowi. Było ich 29, paru sąsiadów miało ziemię kupioną. Sąsiadem osadnikiem najbliższym byli Łosińscy, kapitan Orzechowski - ten miał podwójną działkę /był odznaczony krzyżem Virtutis Militari, był też wójtem w gminie Ostrów/. Orzechowski miał żonę z tamtych terenów, to i teściowie mu mogli pomóc, powodziło mu się lepiej niż innym osadnikom. A moim rodzicom nikt nic nie pomógł, musieli się wszystkiego dorabiać sami.

Osadnicy na początku mieli broń, liczyli się z tym, że na nich mogą napadać. Istotnie były wypadki pogrózek, grożono podpaleniem budowanych domów. Ale później ludność miejscowa była przyjazna. Dorabiała u osadników w czasie sianokosów, podczas żniw, regularnie otrzymywali zapłatę. Potem ich dzieci i dzieci osadników razem chodziły do szkoły. Osadnicy dostali ziemię z byłych posiadłości Potockich. Wsie okoliczne to były Lubejki, Krzywoszyn, Marynow, Załuże. Wśród miejscowej ludności byli i prawosławni i katolicy. w Krzywoszynie był duży kościół, niegdyś katolicki, potem przerobiony na cerkiew. Aż do końca naszego pobytu tam /r. 1940/ katolicy starali się odzyskać ten kościół, ale bezskutecznie. Jeździliśmy do Krzywoszyna na nabożeństwa, była bowiem tam mała skromna kapliczka drewniana. W kaplicy tej zbierało się o wiele więcej ludzi, niż w tej ogromnej cerkwi. Ale już w Ostrowiu katolicy wybudowali nowy kościół, w Porodyszczu. W Ostrowiu prawdopodobnie kościół potem był spalony.

Osadnicy pochodzili i z Kielecczyny i z Warszawskiego /Dąbkowski był z Wyszkowa, spod Krakowa byli Osińscy, Orzechowski spod Raomia, Cyganik, Morys z Piotrkowa Trybunalskiego/. Osada wojskowa koło Lachowicz była zasiedlona przez kolegów z jednostki mojego ojca, ale tam już ziemi brakło i ojciec dostał przydział osobno. Osadnicy niektórzy żenili z miejscowymi, a niektórzy jeszcze raz wracali w swoje strony - po żonę.

Do szkoły miałam daleko. Najpierw chodziła 3 km do Strzelc/I i II kl./.. Do III chodziłam do Lubejek, do IV do Ostrowia, to było 6 km, zimą odwoził ojciec na saniach, potem przywoził całą gromadkę. Gromadka też chodziłiśmy do szkoły, bo nieraz napadali na nas te ruski - byle

Genowega Klauzer z d. Biało-brzeska

- byle za co. Ale myśmy się zawsze trzymali gromadki, czekaliśmy furmanki z młyna /w Ostrowiu był młyn/, staraliśmy się przejść jak najszybciej przez łąki, gdzie miejscowi paśli było. To była IV i V klasa. VI i VII klasę -uczyłam się w Hancewiczach, tam ojciec miał rodzinę, mieszkałam więc u nich.

Dzieci białoruskie chodziły do szkoły raczej tylko zimą. Latem nie można ich było do szkoły zagnać, nie chodzili do szkoły, bo musieli paść krowy. Nakładano na nich karę. Niektóre dzieci dostawały buty, żeby tylko chodziły do szkoły. Dzieci te były raczej biedne. Myśmy też nie byli zbyt bogaci, ale przynosiliśmy na przykład do szkoły mleko w butelkach - żeby na przerwie się napić. Nauczycielka zachęcała też te białoruskie dzieci, żeby przynosiły sobie mleko, ale gdzie tam. Lekcji białoruskiego w szkole nie było. Lekcje religii były też dla prawosławnych, przychodził batiuszka. Ale myśmy też zostawali w klasie na te lekcje, bo nie było gdzie się poźniać, więc umieliśmy modlitwy i nasze i ich, i po rusku i po polsku.

Nauczyciele.

Romana Krzywicka uczyła mnie w Strzelcach w I i II klasie.

Potem już w naszej osadzie w budynku Orzechowskiego była szkoła, nauczycielem był Wacław Siebyło. Założył on organizację młodzieżową. Przygotowywaliśmy przedstawienia, dużo ludzi przychodziło na te przedstawienia. Powtarzaliśmy je po kilka razy. Raz grałam taką babcię, która miała ciężkie życie. Wystawiałyśmy jasełka. Mieliśmy w domu kantyczkę - przysłał nam mamy brat z Kanady. W kantyczce były jasełka. Z tej naszej kantyczki każdy odpisywał rolę. Nauczyciel został aresztowany zaraz po wkroczeniu Rosjan razem z Orzechowskim i mleczarzem /na terenie zabudowań Orzechowskiego była mleczarnia dla osadników/. Nigdy nie słyszałam o losach tych trzech aresztowanych. Mleczarz nazywał się Antoni Popławski.

Przy szkole była biblioteka, wypożyczałam książki. Mamusia czytała czasem wieczorem na głos.

Mieliśmy 24 ha ziemi. Jak przyszli Rosjanie to mieliśmy już 7 krów dojnych i 3 jałówki. Było dużo świń, 2 koni. Robiło się wszystko końmi, zagony były poprzecinane rowami oświadciającymi, żadna maszyna by tam nie weszła. Koszono kosą. Zboża było dużo; inwentarz był załbany, dużo drobiu. Do pomocy był parobek i służąca. Była ona już u nas 11 lat i była jak członek rodziny. Było to rozeństwo prawosławne - Michas i Mania Sawczuk z Bieńkowic. Michas był u nas 3 lata, potem poszedł do wojska, po wojsku chorował na płuca i zmarł. A Mania była do końca, dopóki nas nie wywieźli na Sybir. W ostatnich latach nie była już na warunkach jako człowiek najemny /za ustaloną opłatą/, ale była jako nasza Mania. Czasami tylko odwiedzała swoją rodzinę i wracała do nas

jak do domu. Dzieci biegły na jej spotkanie z radością. Mania bardzo nam pomogła, kiedy przyszli nas wywozić.

Dom był drewniany, kryty szarą ślachówką. Były 3 pokoje i kuchnia, był ganeczek. W domu była podłoga, podwójne okna, piec; były łóżka, szafa, mały kredensik. Meble były robione u stolarza. Tylko kredens-stół i krzesła były kupione, takie meble pokojowe. W osadzie radio było u Onoszki. Onoszko był też osadnikiem, porucznikiem. Ale on był aż spod Smoleńska. Był z bratem kowalem, który na jego ziemi posiadał kuźnię. Był więc Onoszko Jan i Onoszko Józef. ~~Onoszko Jan~~ Jan ożenił się z dziewczyną z kolonii Szlachta, niby ze szlachcianką. W polu nie za bardzo mogła robić, ale dzieci pielęgnowała. Ale on był bardzo pracowity, miał dużo uli. Gospodarkę miał niedużą. Był szewc pan Stachurski, mieszkał u pani Szpakowej. Oni byli z Kołomyi. Ale zmarł mąż Szpakowej, przyjechał więc do nie brat pomagać w gospodarstwie. Wtedy pan Stachurski przeniósł się do kowala Onoszki Józefa i u niego mieszkał. Do krawca jeździło się do Ostrowia, do Żyda. W Ostrowiu Żyd miał duży kolonialny sklep, gdzie można było kupić wszystko. W szkole w Hancewiczach było więcej Żydów niż Polaków. Uczniowie Żydzi wydawali się mniej złośliwi od nas, więc czasami im pomagaliśmy. Chłopcy zawsze z Żydóweczkami żartowali.

#### Wkroczenie Rosjan

Byłam tego dnia u sąsiadów Łosińskich. Leżeliśmy na kocach w ogrodzie i nasłuchiwalismy, że coś się dzieje. Aż ziemia drżała. Osadnicy byli zaniepokojeni. Łosińska z rozpaczą przybiegła do mojej matki, zemdląca nawet ze strachu. Jej mąż pracował w kasie Stefczyka, więc ona się bardzo bała. Nasza matka bardzo się bała, bo była sama z dziećmi /było nas 8-ro/, ojciec był w wojsku w Słonimie. Już pierwszej nocy po wejściu Rosjan przychodzili Białorusini z politrukami i zabierali z domów co się im podobało. Po prostu rabowali - kazali kłaść się na podłogę, twarzą do ziemi i po nas przechodzili. Pozabierali nawet ubranka, które były przygotowane dla dzieci do szkoły, część rzeczy nawet po drodze pogubili, więc w dzień coś znaleźliśmy na drodze. Rabowali miejscowi ludzie, tylko z dalszych wsi, których my osobiście nie znaleźliśmy. I w dzień przyjeżdżali i każdy coś zabierał - to krowę, to kurę. Więc chcieliśmy, żeby już wszystko zabrali, żeby tylko do nas nie przychodzili. Z osady do wojska byli zabrani tylko mój ojciec, Pigoń i Dąbkowski.

Mój ojciec wracał ze Słonima z całym taborem; kptś przekazał matce informację o tym, matka pojechała zamaskowanym na zielono wozem i widziała go w drodze. Mówiono, że idą gdzieś na Rumunię, kierowali się na Pińskie błota, potem ślad po ojcu zagażał. Matka czuła się już prawie wdową. Wtedy inni osadnicy przychodzili nam pomagać sprzątać z pola. A potem to już każdy dbał o siebie. Bardzo baliśmy się w nocy.

Genowefa Klauzer

Ojciec wrócił z wojska. Uratował go przed uwięzieniem Białorusin, który był w plutonie ojca. Białorusin ten po wkroczeniu Rosjan był urzędnikiem w gminie, gdyż wrócił wcześniej niż mój ojciec. Ojciec wrócił gdzieś przez Nowogródek i u jakiegoś osadnika schował swoje umundurowanie i inne rzeczy. Po powrocie bał się pokazać w domu, przyszedł w nocy, zapukał do okna. Ojciec chował się w stodole, codziennie ~~przyszedł~~ ktoś do nas przyjeżdżał /chyba z NKWD/, dowiadywał się, czy ojciec już nie wrócił z wronią. Ojciec polecił mi pojechać do tego kolegi Białorusina z plutonu, zaprosić go do domu pod pretekstem, że prosimy o ochronę na noc przed napadami. Ojciec chciał się przed nim ujawnić. Ten Białorusin polecił mi wybrać kogokolwiek z zaufanych Białorusinów i traktować ich jak ochronę. Znałem dużo takich godnych zaufania ludzi; to byli Białorusini, którzy do nas przychodzili kosić czy do innych prac polowych. Oni przyszli, położyliśmy się wszyscy spać, im też pościelono u nas w domu. Wtedy w nocy przyszedł ojciec udając, że właśnie teraz wrócił. Opowiedział im, jak oddał broń /choć z bronią było inaczej/. Oni powiedzieli, że rano pojedą z ojcem do gminy, żeby się zanelądować. Ale nie zdążyli oni jeszcze rano się zebrać, jak już znów przyjechali szukać ojca, zabrali go, jechali całym orszakiem, jakby wielkiego bandytę wiezli do Ostrowia. W Ostrowiu był ten z plutonu ojca i znajomy Żyd, z którym ojciec przedtem miał drobne interesy. Ojciec znał tego Żyda przed wojną, a teraz ten Żyd był już we władzach. Ten Żyd też wstawiał się za ojcem, kupił mu papierosy, mówił, że mój ojciec jest porządnym człowiekiem. Ojca nie zamknęli, ale często przyjeżdżali do domu sprawdzać i wmawiali, że nie oddał broni, że broń tę oddał komus, kto będzie zabijał radzieckich żołnierzy. Ale koło nas żadnych takich przypadków nie było. Osadnicy chyba się nie potrafili bronić. Mówili o ucieczce, spotykali się - czasem nawet w naszym domu, ale to było bez rezultatu.

Z całego naszego inwentarza na zimę zostało tylko trochę drobiu i j jedna krowa. Jak zabierali przedostatnią krowę, to matka bardzo płakała, że nawet dzieci mleka nie będą miały, ale oni odpowiedzieli, że myśmy się już mleka najedli. Dali nam też sublokatora z rodziną. On zabrał naszą krowę wysokomleczną, karmił ją naszymi kartoflami i burakami - upasł tę krowę. To był człowiek z Ostrowia, komunista. Przed wojną on był jakimś przywódcą w gminie. A teraz był u nas w domu najważniejszy, oni gotowali przed nami w naszej kuchni, brali co lepsze z naszych rzeczy, rządził naszym domem. Myśmy swojej krowie nie mieli za bardzo co dać jeść. Inni osadnicy też mieli takich lokatorów. To bli ludzie, którzy rzekomo nie mieli swoich domów. Ten nasz lokator nie był Białorusinem. Musiał być z centralnej Polski, bo mówił czysto po polsku. !!! Nazywał się Sitko. Miał syna i córkę. Potem Ten Sitko przeniósł się do Orzechowskich, bo tam był duży budynek.

### Genowefa Klauzer

Po wejściu Rosjan chodziliśmy na kurs wieczorowy do szkoły w Plantach, uczyliśmy się czytać i pisać po rosyjsku. Nasi, tzn. młodzież osadników, chodzili bardzo chętnie i szybko nauczyli się alfabetu. A Białorusini stronili od szkoły, tylko mówili, że teraz im będzie dobrze. Nasza Mania mówiła, że w jej wiosce był wiec, gdzie mówiono, że w Rosji wszyscy jedzą biały chleb i białe bliny, że jest pod dostatkiem cukru, a u nas nie ma.

### Deportacja.

10 lutego 1940 roku była chyba najmroźniejsza zima tego roku. Przyszli nocą, zastukali do drzwi, wszystkich pobudzili. Do domu weszło kilka osób. Rodzicom kazali podnieść ręce do góry. Kazali nam się ustawić w rzędzie według wieku. Najmłodsze dzieci płakały przstraszone, więc pozwolili wziąć Lonka /najmłodszego brata/ na ręce. Odczytali rozkaz. Okna też pootwierali, stali za oknami z karabinami, a pozostali przeszukiwali mieszkanie. Mówili, że szukają broni, ale właściwie plądrowali mieszkanie. Byli niektórzy w mundurach, ale byli też ludzie z okolicznych wiosek. Myśmy ich nie znali, ale nasza Mania niektórych spośród nich znała i przygadywała im: "A ty czego tu przyszedł!". Mania mówiła, że gospodarze byli dla niej przez tyle lat dobrzy. Ale oni przeczytali, że nas zamieniają, że przeniosą w głąb Rosji, a na nasze miejsce przyjdą inni ludzie; że wszystko, co my tu pozostawimy, to otrzymamy tam jak dojedziemy. Im więcej pozostawimy, tym więcej otrzymamy. Mówili, żeby nie brać nikt, tylko najniezbędniejsze rzeczy do ubrania. Ale nie mogliśmy się ubierać, bo staliśmy w szeregu. Wtedy Mania zaczęła ich przekonywać, żeby pozwolili gospodyni odejść ubrać dzieci i pakować się. Ona pomogła nam spakować się, ubrać dzieci. Było nas ośmioro, wszyscy spłakani i zmarznięci. Mania wiedziała, gdzie mamy żywność, wszystko wyciągała i nosiła nam na sanie: smalec, kaszę-fasolę, smażone borówki. A ojcu nie pozwolili się ruszać, siedział pod strażą. Wszystko wynosiliśmy na sanie. Kiedy ruszyliśmy, to zorientowaliśmy się, że wywożą i innych osadników: Łosińskich, Dąbkowskich. Zbierały się wszystkie sanie razem. Tak doczekaliśmy rany. B Słońce wschodziło krwawo, był straszny mróz. Dzieci były pozawiazywane w kapy, pod pierzynami. Ale już u Dąbkowskich wnosiliśmy dzieci do domu, bo zamarzała. Kiedy zebrały się wszystkie sanie ruszyliśmy przez wieś - Ostrów, do stacji w Leśnej. W Leśnej już stały wagony. Były wagony większe i mniejsze. Nasze trzy rodziny: u nas 8 dzieci, u Dąbkowskich - 7, u Łosińskich też 8 - zapakowały się do jednego wagonu. Ołożyliśmy ścianę wagonu rzeczom, bo wszystko było lodowate. Była dziura w ścianie - jako ubikacja, ale zaraz ją zabilismy i wyrabiali dziurę w podłodze, która później zakrywaliśmy. W Leśnej staliśmy około tygodnia, zwozili ludzi z różnych osad. Trzymali nas w zaryglowanych wagonach. Puścili tylko po wodę. Ojciec nasz zorientował się, z jakich osad wy-

wozili, Raz nawet przyniósł chleb, bo ktoś przywiózł cały wypiek dla swoich krewnych, ale tych krewnych nigdzie nie znalazł. Chleb ten był nam bardzo potrzebny, bo jedzenia nam nie dawali. Ruszyliśmy nocą. Podróż była ciężka, rura od piecyka odpadała, musieliśmy więc piec wygasić, żeby się nie zaczął. Jechaliśmy przez Moskwę-Wołogdę do Archangielska - 150 km przed Archangielskiem - stacja Chołmogory. Tam nas wyładowano, stały sanie. Przewieziono nas przez Dżwinę do miejscowości Dingisz. Tam zatrzymano się, żeby dzieci się ogrzały. Wsadzałam nasze małe dzieci do worka i wносиłam do izby. Wjechaliśmy 60 km w tajgę. Tam nie było nic. Przyjechaliśmy do poseszka Kiarnysz ~~maxxaxixexx~~ Mężczyźni /nasz ojciec z dwoma starszymi braćmi/ pojechali przodem na saniach, a kobiety z dziećmi jechały w otwartych ciężarówkach, tylko na głowy narzucili nam brezent. Zatrzymywaliśmy się w kolejnych poseszkach i pytaliśmy, czy jest tutaj nasz ojciec. Ojciec nasz był już w poseszku Oczeziore. Byliśmy już teraz razem. Posieszek składał się z kilku baraków, które jak gdyby czekały na takich zesłańców. W Oczeziore były 3 baraki, stołówka, łaznia, miejsce, gdzie gotowano wrzątek. Było nas około 50 osób z naszego transportu, ale z innych osad, nie z naszej. Byli Ulatowscy, Pietruszka, Buby, Byczki, Jekle, Krzanówek /Chrzanówek/, Dura, Skarbowscy. Wszyscy powymierali. Na Oczeziore kazali szybko organizować brygady do pracy, bo inaczej nie było ani zupy, ani chleba. Początkowo nie gonili do pracy dzieci, bo nie było w co się ubrać. Ale ojciec się zorientował, że lepiej będzie, jak bracia moi pójdą do pracy, bo w baraku nie było gdzie stanąć, taka była ciasnota, że trzeba było siedzieć na pryzkach, nie można się było ruszyć. Dzieci małe siedziały cały czas pod pierzynami. Poszliśmy do lasu we czworo: ojciec, ja /16 lat/, bracia Heniek i Zygmunt /12 i 13 lat/. Ojciec postanowił spuszczać drzewo, a my spiłowywać i oczyszczać gałęzie, żeby zarobić przynajmniej na wykupienie zup w stołówce. Ale nawet na tę zupę myśmy nie zarobili. Matka została z 4-ką małych w baraku. Najmłodszy był jeszcze oparzony, oparzył się w wagonie - miał całe plecy oparzone i bardzo cierpiał, płakał, rozpacział, chciał do domu. Wszyscy rozpaczali nad tym dzieciakiem. Nie mieliśmy obuwia, więc nasze trzewiczki okręcaliśmy szmatami, polewaliśmy to wodą, jak woda zamrzęła, to było o wiele cieplej w nogi. Braliśmy do lasu czajnik, grzaliśmy tam sobie wodę, po kromce chleba ogrzewaliśmy na patyku. Nie pracujący dostawali po 200 gram chleba i zupę. Była to mucznica, krochmal czy mąka zagotowana w wodzie, albo zielona kapusta. Wiosną pracowaliśmy przy czyszczeniu rowów na sianokosach. Tam już byliśmy całą rodziną, zbieraliśmy grzyby, jagody pokazały się spod śniegu. Tą pierwszą zimą 1940 roku przeżyliśmy wszyscy. Latem mnie z młodzieżą zabrali na spław, do Brynnawołoka na Dżwinie. Zachorowałam tam na zapalenie płuc. Nie było żadnej opieki medycznej. Mieszkałam z Lusią

Genowefa Klauzer

Ulatowską w jednym pomieszczeniu na barce, potem barkę zabrano i przeniesiono nas do pomieszczeń po koniach. Wysprzątałyśmy nawóz, pościliłyśmy gałęzie, żeby móc gazie się położyć, żeby ten zapach zmienić. Były żelazne łózka. Pracowałyśmy przy skatowaniu drzewa do wody. To była bardzo ciężka praca, przez cały czas boso, bo nie było żadnego obuwia. Miałam temperaturę. Potem przewieziono nas do pracy przy budowie kolei, karczowaniu pni i robieniu nasypów. Tam była sama młodzież polska. Ja dostałam malarii i zapalenia płuc i jeden Ukrainiec oawiózkł mnie saniami i potem okrętem do Jemiecka do szpitala. Na głowie miałam jeden olbrzymi strup. Wszy mnie jadły żywcem. Tam było dużo Polaków. Dużo umierało. Przy mnie umarła pani Trojanowska, urodziła dziecko i umarła, dziecko po paru dniach umarło. Trojanowska zostawiła dwie córki. Ona była z naszej osady. Umarła pani Jekłowa. Rodzina dowiedziała się, że jestem w szpitalu. Do pani trojanowskiej przychoził mąż. Ludzie szli z tajgi po 70 km pieszo, żeby oawiezić swoich w szpitalu. Rodzice zrobili sok z malin, które ojciec nazbierał na sianokosie; podali ten sok dla mnie. Może ten sok mi pomógł. Kiedy temperatura opadła odesłano mnie z powrotem na roboty. Szłam pieszo wiele km, po 20 km dziennie. Nocowałam po drodze w takich domkach noclegowych, gdzie nikogo nie było. Można tam było narabać sobie drzewa, na noc podpierało się drzewi, żeby coś nie weszło, ale tam nic nie było, tylko czasami spotykało się łosie.

Najgorsza była zima 1941-42. Skończyły się już wszystkie nasze zapasy z domu. Nie było komu sprzedać ani z kim wymienić tych naszych rzeczy, które mieliśmy z domu, bo nikt do nas nie dojeżdżał, ani nie chochoził. Pojawiała się tylko listonoszka, ale ona sama była biedna. Kto miał rodzinę na kresach, to otrzymywał paczki i miał lżej. Ale my nie mieliśmy nikogo i nasza żywność już się skończyła. Chodziliśmy znów do pracy do lasu. Matka z najmłodszymi znów musiała zostać w baraku, bo latem to z nimi zbierała grzyby i oawiała do stołówki.

W listopadzie: rąbaliśmy taki krzywy świerk, nie można było spuścić go normalnie. Spadając świerk omal nie zabił nas wszystkich. Ale ojciec rozgarnął rękami nas na strony, a sam upadł kręgosłupem na pień. Ojciec już sam nie mógł się poowieć. Oprowadziliśmy go do baraku do felczerki. Ojciec już nie mógł pracować. Myśmy byli za mali, żeby mieć swoją brygadę. Adas Łosiński - w moim wieku - stanął wtedy na czele tej naszej brygady - naszych dzieci. Rąbaliśmy ten las. Ale już poupadaliśmy na siłach. Ojciec był w szpitalu. Listonoszka przychoząc mówiła, że stan ojca się pogarsza. Ja miałam przykurcz nogi, cała byłam owrzodzona. Wszyscy mieliśmy skorbut i malarię. Dawali dużo chininy, całymi garściami. Ojca wozili jeszcze na Jemiecka na komisję, bo inaczej i w szpitalu nie dostałby chleba. Wiezli 60 km

### Genowefa Klauzer

zimą na saniach. Nie wiedzieliśmy o tym, bo przynajmniej okrylibyśmy go kożuchem. Ojca przeziębili. Po powrocie był już nieprzytomny, nie poznawał nas. Ciało miał wyschnięte, jak podziurkowane. Z naszej rodziny wtedy już nikt nie pracował, wszyscy leżeliśmy bez sił na pryzach. Pani Ulatowska przynosiła nam ze stołówki tę zupę. Dowiedzieliśmy się, że stan ojca jest bardzo ciężki. Zdecydowałam się mimo wszystko iść do ojca. Brat Zygmunt też szedł za mną. Powiedziano nam, żebyśmy ojca zabierali, bo nieboszczyka w szpitalu trzymać nie będą, bo ojciec był już umierający. Musiałam więc iść przez jezioro po konia z saniami. Przywiozłam ojca do baraku, poprosiłam sąsiadów, żeby pomogli go wnieść zrobili trochę miejsca na pryzach. Matka zemdląła z rozpaczy, w baraku szloch i lament. To byłg około Wielkiejnocy. W środę po Wielkiejnocy ojciec zmarł. Po ojcu zaczęła wymierać nasza rodzina. Jadzia miała koklusz /była z 1936 roku/. Dusiłk się, kładła się koło mamy, żeby trochę się ogrzać. W nocy mama powiedziała do brata, żeby okrył Jazię, ale brat stwierdził, że Jadzia już nie żyje, jest sztywna. Jadnia zmarła w tydzień po ojcu. W tym jednym miesiącu umarło pięcioro. W następnym tygodniu zmarł Zygmunt. Chodził do końca do roboty. Konie wywoził drzewo z lasu. Przyszedł po pracy do baraku i powiedział, że już więcej do tej roboty nie może pójść. Prosił matkę, żeby się nie martwiła, że będzie łowił rybę w jeziorze wiosną, będziemy zbierać jagody, że nie chce już chleba, ale nie może już pracować, że bardzo go głusi. Matka podała mu krople walerianowe, ale on nadal prosił pomocy. Matka odszła do pieca żeby upiec placki ze zmarzniętych kartofli, które dostaliśmy ze stołówki. Kiedy znów podeszła do niego, Zygmunt już nie był. Dmitrij Dmitrijewicz, żył, który też był w obozie, powiedział, że Zygmunt dostał zadyshki serca. To był wtorek. A w piątek umarła Jenka, była z 32-go roku. Ona bardzo wołała jeść, płakała, a z niej wszystko się łało. Matka miała wodną puchlinę, nie mogła chodzić, ale wyciągała spod Jenki te smaty, chodziła do jeziora płukać. Jenka tak ze dwa dni wołała jeść, ale zmarła szybko, miała bardzo spuchnięty brzuch. Romcia cierpiąka bardzo na kurzą ślepotę, miała zapuchnięte oczy. Wszyscy na to cierpieliśmy. Ale najbardziej cierpiąka Stasia. Miał tak zapuchnięte oczy, że jedna ropa się łała. Stasia konała 4 doby, bo oczy całkiem wypłynęły, jęczała z bólu, bo oczodoły były pełne ropy i tam siedziały całe grudy wszy. Wszyscy, kogo spotygam teraz z naszego obozu, pamiętają śmierć Stasi, bo ściany baraku były przepełnione jej jękiem. Zmarła Stasia.

Pogrzeby w obozie. Pani Ulatowska, która wozila chleb na saniach, to z powrotem wywoziła zmarłych. Tego dnia, kiedy zmarła Stasia, to z rana pani Ulatowska wywoziła zmarłą wnuczkę państwa Krzemionków - Bronię; a po południu wywoziła Stasię. Nie byłam na tych pogrzebach,



### Genowefa Klauzer

byłam tylko na pogrzebie ojca. Kiedy zmarła Jadzia, to były takie roztopy, że nie można było jej wywieźć. Nieśli ją młodzi na ręcznikach. Chowali wszystkich na Okdusie, przy jeziorze. Potem Rosjanie mówili, że "polaczki pływają po Okdusie", bo woda powymywała te groby. Trumny robili z byle desek, żeby tylko jakaś skrzynka była. Czasami opuszczali taką skrzynkę do dołka z wodą.

Pochowaliśmy swoich. Zostaliśmy: matka, Heniek, Romcia i najmłodszy Lonek i ja.. Tu przyszło oswobodzenie Sikorskiego. Dostaliśmy polskie paszporty. Staliśmy po te paszporty w kolejce i żądaliśmy, żeby je dostać, bo podobno namawiali, żeby brać ruskie, że z ruskim paszportem będzie lepiej. Ale starsi podszeptowali, żeby nikt się nie godził brać ruskich. To był chyba czerwiec 42-go roku. Ogłosili, że możemy z tajgi wychodzić. Ludzie zaczęli stamtąd uciekać. Ale to nie trwało długo. Potem zabrano nam paszporty, dano tylko takie zaświadczenia, że wolno się poruszać. Młodzież przede wszystkim zaczęła wychodzić z tajgi, wszyscy chcieli być bliżej Dźwiny. Byłam w międzyczasie z bratem w kołchozie w Pingiszy, pracowaliśmy, żeby zdobyć trochę żywności: kartofli suszonych, trochę ciasta kartoflanego. Chciałam zostawić matce z dziećmi trochę jedzenia i samej pójść razem z innymi Polakami, żeby nie zostać samej w tym lesie. Chodziłam do tego kołchozu dwa razy. Zostawiliśmy z Henkiem matkę z dwójką młodszych i poszliśmy razem ze wszystkimi. Pol matkę mieliśmy wrócić zimą, kiedy można będzie przyjechać saniami, bo teraz trzeba było dwa razy przeprowiać się łódką. Doszliśmy do miejscowości Sija nad Dźwiną. Tam były już inne polskie rodziny. Spóźniliśmy się jednak na zbiórkę młodzieży, która szła do armii Sikorskiego. Robiliśmy aż do zimy z bratem przy spławie. Zimą pojechałam po matkę z dziećmi. Ale matka była bardzo chora, gospodyni, u której mieszkaliśmy, nie chciała matki chorej przyjąć do mieszkania. Odwiozłam więc matkę do szpitala. Brat jeździł saniami, miał podmrażane nogi często skrobane. Skierowano go do szpitala, ale tam nie przyjęto go, bo była kwarantanna. Brat nie mógł już pracować. Woziłam go 2 razy na komisję do Jemiecka. Do szpitala go już nie przyjmowali, mówili, że ma gruźlicę i prątkuje. Dzieci oddawałam do żłobka, w dzień szłam do roboty, brat leżał w baraku. Ludzie denerwowali się, że leży w baraku prątkujący chory. Ja miałam kurzą ślepotę. Leczenie kurzej ślepoty było takie: ze suchłego konia brało się kawałek koniny i gotowało się. Siedziało się nad tą parą z koniny i przez kilka dni było lżej. Zabieg ten powtarzano wielokrotnie.

Heniek leżał, chudek, 10 maja zmarł. Matka nadal była w szpitalu. Nie wiedziała o śmierci Henka, bo latem nie mogłam jej odwiedzić, bo szpital był po przeciwnej stronie Dźwiny /na Głębokiem, tam był przyszły generał Siwicki/. Przechodziła gehennę. Matka uratowała się, bo w

szpitalu codziennie ktoś umierał, więc mogła zjeść dodatkową porcję tej zupy-mucznicy. Wychodziła, trzymając się ścian, codziennie do lasu, zbierała jagody i jadalne. Matka była w szpitalu cały rok. A ja z dziećmi przeżyłam zimę. Romcia leżała potem na głębokiem w szpitalu. Jedno oko wycisnęło całkiem bielmem, była całkiem jak szkielet. Teraz Romcia jest niewidoma.

Po zerwaniu umowy z Sikorskim nasze warunki znów się pogorszyły. Znów podlegaliśmy sądom. Nie wolno było się spóźniać. Skończyły się rzeczy, które można było wymienić. Nad Dźwiną było jednak lepiej niż w lesie, bo latem można było coś znaleźć na polach, to kartofle zgniłe się wykopało, to co. Najgorzej było zimą. W Siji mieszkałam w baraku nad stołówką. Mieszkały w jednym pomieszczeniu po dwie rodziny polskie. Tam byli Skarbowscy, Łosińscy, Onoszko i my. Wszyscy byliśmy z tego samego obozu. Skarbowscy umarli oboje w tej Siji, u Łosińskich umarło dwoje - Mania i Maryś /chłopczyk/. Jak byliśmy w tajdze - na Kierynsze, to z tamtych ludzi zostało może 20%, nasza rodzina nie była wyjątkiem. Było dużo rodzin, gdzie umarli wszyscy. Ukrainiński /U Kraińskich/ wymarła cała rodzina, z Laskowskich też nikt nie został. Ukraińskich było 9-ro, u Laskowskich też sporo osób. Ale w naszej rodzinie było najtragiczniej, bo pierwszy zmarł ojciec i wszyscy byliśmy już złamani. Nikt nie liczył na żaden powrót, tylko, że to już koniec z nami. Te posiołki w lesie były najtragiczniejsze.

Zimą 1943/44 przeżyliśmy jeszcze na Siji. Byłam już bardzo chora na obustronne zapalenie płuc, miałam kurzą ślepotę, podkuloną owrzodzoną nogę z wylwami. Nie mogłam pracować. A jak nogą mogłam ruszać, to musiałam pracować przy piłowaniu drewna. Jeszcze niektórzy wymieniali resztki rzeczy od Sikorskiego, można było za koc dostać parę ziemniaczków. A to był wielki rarytas. Można byłoby mówić o tym bez końca. Ale po co. Zimą przeżyliśmy, ale bardzo chorowaliśmy.

Największe szczęście było wtedy, gdy dowiedzieliśmy się, że znowu Wanda Wasilewska organizuje Polskie Wojsko i można do niego iść. Wszyscy chcieli iść, wszyscy. Nikt nie myślał o tym, czy będzie w wojsku ale o tym, żeby dojechać do takiego miejsca, gdzie będzie co jeść. Ale ja ciągle byłam obciążona rodziną. Inne dziewczynki szły jako ochotniczki. Ja byłam też zapisana jako poborowa, ale naczelnik zadzwonił, że moja matka jest chora, dwoje małych dzieci jest w żłobku i trzeba mnie "broniować". I mnie do wojska nie wzięli. Ale po krótkim czasie przyjechało po nas wojsko. To było w same roztopy, był początek maja. przyjechało polskie wojsko, nawet w rangach. Przyjechali po tych, którzy byli w najgorszych miejscach, żeby zawieźć nas na Ukrainę. Kobiety stały przed nimi na kolana, całowały po nogach, to była okropna rozpacz, tragedia połączone z radością. Oni twierdzili, że oni też są stąd, tylko byli w innych posiołkach i są już trochę odżywieni w wojsku i że przyjechali po swoich, że nie są aż tak ważni, żeby ich specjalnie szanować.

Ganowefa Klauzer

Naczelnik ogłosił, żeby wszyscy Polacy wychodzili z lasów, gdzie kto jest; skierowano wszystkich do bani, odzież do dezynfekcji, wszystkich szykować do transportu, bo pierwszy okręt jak będzie sześć od Kotłasa, to będzie znad Dzwiny zabierał wszystkich Polaków. No i tak było. Najpierw przeszedł lodołamacz, przeszły lody. Wszystkie pola były zalane, nie można było nawet wyjść z baraku, ale łódkami dowozili nas do stacji /przystani?, wszystkich Polaków. Widać było naprzeciw, na Głębokim, tam, gdzie był szpital, jak Polacy śpiewali "Serdeczna Matko" i różne nabożne pieśni, a potem postawili na cmentarzu duży biały brzozy krzyż. A myśmy swoich w tajęże już nie widzieli, bo to było w odległości może 80 km.

Okrętami przywieźli nas do Archangielska, tu znów wszystkich do dezynfekcji. Dali nam dużo prowiantu: konserwy rybne, suchary, chleb - i do transportu. Wagony były dołączone do transportów wojskowych - rosyjskich. Przywieźli nas do dwóch obłasti - Kijowskiej i Połtawskiej. Jeden wagon zostawili na stacji Jagotin i woźkami nas rozwozili po kołchozach. W kołchozach w ogóle nie było mieszkań. Miejscowi mieszkali w ziemiankach, a nas do takich chlewni dali. W naszym kołchozie mieszkaliśmy w koniusznie. Nie było czym palić. Byliśmy w kołchozie "Władimirowka" przez dwa miesiące, a potem nas wzięli na "Majskie". Tam zagryzały nas żywcem szczury. Była plaga szczurów, bo po wycofaniu się Niemców miejscowi dostali ile kto chciał ziemi, mieli więc dużo kartofli i kukurydzy, słonecznika i nie mieli z tym co zrobić, nikomu nie mogli sprzedać, więc szczury pasły się dowoli. Owijaliśmy się z głową kocami a szczury chodziły po nas. Chodziły po stole, po ścianach.

Warunki były okropne. Przez te wszystkie lata nie widzieliśmy na oczy ani razu mydła, ani proszku do prania. Ale w lesie to można było z popiołu robić żug, a tu nie było z czego nawet żugu zrobić, tylko ze spalonych chwastów. Latem praliśmy w sadzawce, gdzie były i kaczki i krowy. Suszyliśmy pranie na trawie i ubierali. Wszy nas jadły. Każdy w kącie tylko wszy wytrząsał. Jedzenie tu już było, na polach były pomidory, ogórki, przez lato można było zaoszczędzić trochę chleba. Chleb można było wymienić na mleko. Cieszyliśmy się, że to już raj nie życie. Ale wciąż czekaliśmy na powrót do Polski. Nie sprzeciwialiśmy się już ruskim. A oni też już nas nie ganiłi tak jak przed tem. Nasz uprzążuszczij wrócił z frontu, bez nogi, poznał nasze polskie tereny, przychodził do nas, czytał nam gazety, jak się front posuwa. Był bardzo ludzki w stosunku do Polaków. Na Ukrainie byliśmy do końca stycznia 46. Do Wrocławia się przyjechało koło Wielkanocy. Nas z 10-osobowej rodziny wróciło czworo. Wrócili też Onoszczy, Łosińska. Ircia Skarbowska - ostatnia z tej rodziny była jeszcze z nami na Ukrainie, ale była już bardzo chora, tam ją zabrali do szpitala i tam zmarła. Skarbowskich było wywiezionych czworo. Ale na Ukrainie z naszej osady z nami nie było

nikogo. Oni ciągle we wszystkich transportach, we wszystkich przemieszczeniach ciągle ludzi mieszała, żeby nie było znajomych. A zawsze przed drogą mówili, żeby pisać, z kim się chce jechać czy mieszkać. I zawsze robili odwrotnie niż obiecali. Tak że lepiej było nie pisać nic.

## II A

Genowefa Klauzer.

Jak byliśmy jeszcze w tajdze, to często oni zwoływali takie mitingi - wszystkich do stołówki, wyganiała siłą z baraków i ciągle wmawiali, że my pracujemy źle, że leniuchujemy, że mamy pracować lepiej, bo nie dostaniemy jedzenia, jeśli nie wyrobimy normy. A o Polsce mamy zapomnieć, bo nie zobaczymy jej jak swojego ucha. Byli tacy, którzy sprzeciwiali się tym opiniom. Mój ojciec też raz wystąpił i powiedział, że jeśli mamy nie zobaczyć polski, to lepiej, niech nas wszystkich tutaj odrazu potopią w tym jeziorze. Wtedy zabrano go odrazu do NKWD, wzywano świadków, przesłuchiowano, czy on nie jest przywódcą buntu, ale nie wysłali go do jeszcze cięższych łagrów, jak te, któreśmy mieli.

Na Siji to wszyscy byli już bardzo schorowani. Ale dzieci mogły już chodzić do szkoły, tylko nie miały już ani ubrania, ani butów. Moja siostra chciała się bardzo uczyć, garnęła się do nauki, ale miała oko przewiązane czarną opaską, raziło ją bardzo słońce. Nasze dzieci były chętniejsze do nauki, niż miejscowe. Luźność miejscowa stanowili dawni zesłańcy - Ukraińcy, Białorusini, którzy byli tam już od dawna. Pracowałam w suszarni drewna razem z dwoma Ukraińcami - Matwijenko i Litwijenko, dwóch swatów /ich dzieci były pożenione ze sobą/. Opowiadaliśmy im zawsze o tym, jak u nas było w domu, a oni opowiadali, jacy oni byli bogaci. Ich wywieźli na Sybir, oni się tam już zestarziali, ale nie mieli żadnego kontaktu ze swoimi krewnymi na Ukrainie, nie wiedzieli nawet, czy ci krewni żyją. Kiedy mówiliśmy im, że wrócimy kiedyś do Polski, to oni patrzyli na nas jak na wariatów. I kiedy myśmy jednak odjeżdżali, to oni płakali z rozpaczy. Zazdrościli, że o Polaków jest się komu upomnieć, a za nimi nikt się nie wstawia. Nie mogli nawet sobie wyobrazić, że powrót jest możliwy.

Żydzi. Na Ukrainie była z nami Segałowa. Ona była z ~~WAKKSKAWY~~ Przasnysza, ale potem przeniosła się do Warszawy; dwie córki Segałowej zginęły w Polsce. Oni byli tylko z chłopczykiem Filipkiem, chłopczyk ten przeżył. Żydzi ci byli złapani na granicy, kiedy ze strony polskiej pod Niemcami przechodzili na wschód. Ale oni byli z innego transportu, ich wywieźli później. Transportów było dużo, różnych. Kiedy myśmy wyszli już z lasu i pracowali nad Dźwiną, to Dźwiną szły nowe transporty z Polakami. Próbowaliśmy z nimi rozmawiać, ale nas odganiano do pracy.

Polacy na zesłaniu. Byli bardzo różni. Był taki okres, że naszej rodziny bali się nawet najbliżsi sąsiedzi, chociaż teraz niektórzy próbują mi mówić, że mi pomagali. Luźnie bali się, że może mamy tyfus.

Genowefa Klauzer

Ale inni pomagali. Pani Ulatowska prała nam pościel, kiedy mieliśmy biegunkę. Potem oddawaliśmy rzeczy po zmarłym rodzeństwie innym dzieciom, to ludzie i za to zawsze się odwdzięczyli. Nie wyjechaliśmy tacy biedni z domu, to można było coś wymienić.

Na Ukrainie ludność miejscowa była życzliwa: współczuli nam, wypytywali się, jak my żyliśmy. Bali się tylko bardzo swojej władzy.

Było takie wydarzenie w kołchozie Władimirowka. Na żniwo przywożono z miast - z Charkowa, z Połtawy studentki do prac żniwnych. Te dziewczyny harowały bardzo ciężko. Za te dwa miesiące ciężkiej pracy dostały centnar zboża - pszenicy czy jęczmienia. Wtedy były studentki z Czernihowa. Zrobiono zebranie dla wszystkich: przyjechali NKWDziści /ci z żółtymi opaskami/, zrobili listę, żeby podpisać ojcu Stalinowi 'Błagodarność' na pomyslnie zakończenie żniw i za to, że otrzymaliśmy centnar zboża. A ja wystąpiłam, powiedziałam, że ja nie otrzymałam tego centnara zboża, więc podpisywać nie będę. Wtedy ten NKWDzista przez godzinę mnie przed wszystkimi "wychowywał", że ja jestem buntowuszczyk, że występuję przeciw władzy radzieckiej. Mówiłam mu, że nie jestem buntownikiem - tylko nie otrzymałam żadnego ziarna, więc nie mogę podpisywać. On się zdenerwował i obiecał porozmawiać ze mną później. Nasi Polacy już wyszli z zebrania, wszyscy pokłękali i módlili się, żeby mnie nie zabrano. Ja sama nie odczuwałam takiego strachu, jak nasi w barakach. Przez kilka tygodni czekałam na aresztowanie. Ale od tego czasu wszyscy Polacy zaprzysięgli się nie chodzić na żadne ogólne zebrania. Wołano nas, ale nikt już nie szedł. Wtedy uprawiajuszczij sam do nas przychodził, nazywał nas do roboty. Polaków nawet lubił.

W kołchozie nie było nauki dla dzieci. Tylko pani Segalowa uczyła nasze dzieci po polsku. Tylko że nie było na czym pisać. To był problem. 8 począwszy od Archangielska przez cały czas pobytu nie było skrawka papieru, na którym można byłoby napisać nawet list. Najwyżej jak ktoś otrzymał od rodziny list, to napisał odpowiedź w drugim kierunku na tym samym liście. Kiedy czytam książki o zsyłce, o tym, jak zesłani kupowali w sklepach mydło czy zeszyty czy warzywa to rozumiem, dlaczego nas z tamtej zsyłki tak mało przeżyło. Bo my nie mieliśmy nic, a drzewa człowiek nie ugryzie. Ci, którzy byli w stepach, to choć prosa mogli do kieszeni nabrać. A my nawet już na Ukrainie jak przynieśliśmy w kieszeni trochę pszenicy, to ją szczury zjadły. Pani Machajowa otrzymała za pracę przy burakach cukrowych 80 kg cukru. Miała zamiar wymienić go w przyszłości na buty. Powiesiła ten woreczek na ścianie, a my trzymaliśmy w nocy swój przydział przy sobie. Ten ~~szczur~~ cukier szczury wciągnęły do nory.

Kiedy byliśmy na Syberii, przyszło z gminy Ostrów /z Lachowicz/ takie zaświadczenie, że zostaliśmy ~~wesłani~~ przesiedleni na Sybir za

to, że ojciec był legionistą i walczył przeciwko Armii Czerwonej w 1920

W Połtawie były zjazdy ZPP, tam czasami przyjeżdżała Wanda Wasilewska. Tam bywały żywność dla dzieci z UNRRy. Tam też dowiadaliśmy się o powrót do Polski. NKWD w Zgórowce /nasz ówczesny rejon/ robiło listy. Żądano jakichś dowodów, że pochodzimy z Polski. Wystarczyło więc mieć jakikolwiek papier urzędowy sprzed 1939 r. z pieczęcią okrągłą. My mieliśmy to zaświadczenie o tym, że słusznie nas wywieziono. Baliśmy się posługiwać tym dokumentem. Mieliśmy też papiery podatkowe, książeczki na konie. Te dokumenty oddaliśmy. Otrzymaliśmy je z powrotem na granicy. Ci, którzy nie mieli żadnych dokumentów, przedstawiali świadków, że pochodzą z terenów polskich sprzed 1939 r. Byli oni w wielkim kłopotcie. Ale spośród naszych uznano wszystkim polskość, za wyjątkiem Loli Bubów. Tam były dzieci-sieroty, oni byli z Bakanowa. Ojca Loli aresztowali jeszcze w domu, a matka na zesłaniu urodziła dziecko. Matka zmarła zaraz po porodzie, a to niemowlę zmarło po roku. Zostało 6-ro dzieci, najstarsza Lola /z 1924 r./, te dwoje najmłodszych zabrano do domu dziecko, ale później te dzieci dołączyły. Są koło Dębli na u stryjka swojego.

Po przyjeździe z transportem do Wrocławia staliśmy na boczniczy na dworcu Odra. Miesiąc czasu w wagonach. Przychodzili różni agitatorzy, którzy tłumaczyli, żeby chodzić po wsiach, szukać sobie mieszkań, zabierać Niemcom wszystko, wyganiać. Każdy z płaczem odpowiadał, że pamiętamy te czasy jak nam zabierano i jak nas wysiedlano, więc teraz my nie będziemy tego robić. Niech nas władza gdzieś osiedli. Ale byli i tacy, którzy szukali sami sobie mieszkania. Ale nasza rodzina nigdzie się nie ruszała. Miesiąc czasu chodziliśmy na Paulińską do PURu po zupę i siedzieliśmy w wagonach. Przyszedł rozkaz, żeby opróżnić wagony. Wtedy wywieźli nas do PURu na Psim Polu. Na Psim Polu odsiedzieliśmy jeszcze pół miesiąca. Przyszły tymczasem inne transporty, więc trzeba było PUR opróżnić. Więc posadzili nas na samochody, i wozili w poszukiwaniu wolnych miejsc. W końcu przywieźli nas do Wjszyc do sołtysa i sołtys musiał nas osiedlić. W budynku, kt do którego nas przydzielono byli Niemcy. Dostaliśmy jeden mały pokój, bez dostępu do kuchni. Dopiero przyszedł przyszedł od sołtysa upoważniony taki jeden pan i wytłumaczył Niemcom, żeby udostępnił nam kuchnię. Ale w końcu postarał się nam o kuchenkę, doprowadził ją do komina i mieliśmy w naszym pokoju kuchenkę. Mieszkaliśmy przy Niemcach w jednym pokoiku. Inni postępowali różnie: uważali, że skoro im zabrali - to i oni mogą. Ale myśmy z mamą nic Niemcom nie zabrali. Żyliśmy jak mogliśmy. Wtedy właściwie przeżyłam najgorszy głód. Bo jak byłam w PURze, to była i zupa gro-

Genowefa Klauzer

chowa i śledzie. A tu nic nie było; i Niemcy też nie mieli jedzenia. Więc ja z tym kociołkiem z Wojszyc raz dziennie biegałam na Psie Pole i przynosiłam zupę grochową i trochę chleba. Zbieraliśmy pokrzywę i parzyliśmy w garnku. Taki pan Baranowski wyjechał do Poznania, to odkupiłam od niego 20 kg kukurydzy. Dostałam od Niemca młynek do kawy. W tym młynku mełłam tą kukurydzę, zasypywałam to pokrzywą i to jedliśmy. Aż dali nam z gminy pomoc - po kg cukru na osobę. Wtedy pożyczaliśmy od Niemca wózek, pojechaliśmy z matką do Żernik. Za kg cukru można było dostać metr ziemniaków. Metr ziemniaków był już na dłuższy czas. Zaorali nam kawałek pola, posadziłyśmy te obierki od ziemniaków, trochę ziarna posiałyśmy i od tego zaczęło się życie. Z pracą też było trudno, przyjechało dużo repatriantów z za Buga. Dopiero można było u nas znaleźć pracę jak powstał szpital wojskowy na Gaju.

W Wojszycach byli wszędzie jeszcze Niemcy. Był kołchoz milicjantów. Milicjant chodził więc po domach i zganiał Niemców do pracy, żeby pracowali w tym kołchozie. Niemki, które mieszkały w naszym budynku - to była jedna starsza kobieta i druga młodsza i dwóch małych chłopczyków /bawili się z moim bratem/, chowały się u nas, żeby ich nie pogonili do pracy. Ukrywałyśmy z mamą te kobiety jak chodził milicjant. Chyba w lipcu 1946 roku zaczęli wywozić Niemców. Zwozili ich na Dworzec Swobodzki. Nasze Niemki wiedziały o tym już chyba wcześniej, bo przygotowały dwa takie wózeczki z rzeczami. Ale nie miał im kto tych wózeczków ciągnąć. Więc ja z bratem zaciągnęliśmy te wózeczki na dworzec. I one dały jeden wózek nam, a drugi zabrały ze sobą. Myśmy się bardzo z tego wózka cieszyli, bo na nim wszystko można było przywieźć. Dały nam też słoik smalcu i trochę pszenicy, które miały w woreczku. Cieszyliśmy się z tego. Rozstaliśmy się z nimi przyjaźnie, pamiętaliśmy ten moment, jak nas wywozili. Matka mówiła, żeby im pomóc. Z zazdrością trochę zauważyła, że ich wywożą, jak przynajmniej słońce świeci, a nas wyrzucono z domu w taki straszny mróz. Nie mogliśmy jednak porozumieć się z tymi Niemcami, bo nie znaliśmy niemieckiego, ale czuliśmy, że nie jest im lekko. Nie cieszyło nas to zbyt, że zajmujemy ich miejsce tutaj.

W 1956 roku poszłam do pracy do Zakładów jajczarskich. Przedtem wyszłam za męża. Mąż pracował na kolei. Dostaliśmy potem taką chorą krowę, chowaliśmy prosiaczka, więc okrasa była, a kartofli i kapusty nie brakowało. Mieszkałyśmy razem z mamą i rodzeństwem. Nigdy ich nie opuściłam, aż sami uasmodzielili się i odeszli. W 78 roku wyszłam ponownie za męża, bo owdowiałam.

Zdrowie. Matka tam była w szpitalu - z wodną puchliną. Potem była sam szkielet. Matka moja miała 46 lat, ale dla mnie to była już staruszka, nigdy nie pomyślałam, że mogłaby jeszcze pracować. Chorowała na wątrobę i serce. A rodzeństwo chodziło do szkoły. Ubierałam ich w co

Genowefa Klauzer

mogłam. Matka orzyniosła kiedyś stare prześcierała ze szpitala. Wygotowałam się je i uszyłam siostrze bluzeczki i bratu koszule. Kiedyś siostrze uszyłam suknię do I Komunii z firanki. Ale nie były ubrane gorzej niż inne dzieci. Romcia dobrze się uczyła, ale miała kłopoty z tym okiem, dostała znowu wrzód na tym oku i usunięto je całkowicie. W 20-ym roku życia dostała cukrzycy. Brat też zdrowia nie miał, nie wyrósł. Kiedy nas wywieźli, to on miał półtora roku, tam zupełnie przestał chodzić i do czwartego roku życia tylko się przesuwiał na pupie, raczkował. Tutaj chorował na żołądek, na przepuklinę. A teraz wygląda jak staruszek, choć jest ode mnie o 14 lat młodszy. Na Ukrainie dzieci też musiały pracować, bo inaczej nie dostawały przydziału chleba. Na polach buraczanych zbierały do butelek robaki. Kto zbierał tych robaków więcej, ten dostawał większy przydział niż 200 gramów.

O sobie to już nawet nie potrafię powiedzieć. Wczoraj był program o Ostaszkowie i coś o Matce Bożej, że Ona tam była. Ja wierzę głęboko w Boga. Ale tak mi się wydawało, że chyba tam Matki Bożej nie było. I chyba ~~z~~ z nami też jej nie było. Jak myśmy się tam modlili! No i chyba Bóg jednak pomógł, bo myśmy w końcu przyjechali do Polski. Jak były majowe nabożeństwa wszyscy schodziliśmy się do osobnego pomieszczenia - do Kuzminowej, bo ona miała oddzielne pomieszczenie, bo ona gotowała wrzątek dla wszystkich, - śpiewaliśmy litanię, wszystkie pieśni, prosiłśmy Boga, żeby się wydostać z tej tajgi. A był taki moment: jeden pan, ojciec Basi Makowskiej poszedł do lasu i azbłądził i tydzień czasu już go nie było. Po majowym nabożeństwie tośmy wychodzili przed barak i wszyscy razem krzyczeliśmy z całej siły, jak najgłośniej. I nigdy go nie było. I to dziecko tak płakało, tak rozpaczało. I tego dnia najbardziej: "Matko Boża, daj, żeby się mój tatuś znalazł!" - i po chwili Makowski przychodzi. Obudził się, bo spał niedaleko od baraków, za sztabelami złożonego drewna. Cały był już niepodobny do człowieka, miał zawroty głowy. Nic nie wiedział, gdzie on był, jak daleko odszedł, tyle że usłyszał nasz krzyk. A tam, jeżeli ktoś poszedł w kierunku północy, to mógł nigdy się nie znaleźć. Taki pan Bartniak poszedł i nigdy nie wrócił.

Jak ktoś umarł i leżał w baraku na pryczach, póki ktoś z naszych robił trumnę, to ludzie od razu przychodzili i bardzo się modlili. Miejscowi przychodzili patrzeć, jak my się modlimy. Dziwili się, że my się jeszcze zbierali modlić. Kiedy umierał Kraiński /to była liczna rodzina i wszyscy wymarli/, to wszyscy modliliśmy się o łatwą śmierć i przerwali mu konanie - on wstawał i siadał i wszyscy się bez przerwy modlili. Z nami księży w obozie nie było.

Kiedy /po Sikorskim/ można było wychodzić z tajgi, to poszliśmy do kołchozu do Pęgiszy żeby coś zarobić. Wszyscy uciekali z tajgi. Kosiński miał dwoje małych dzieci - Maryś i Józiu, to je w koszyki posadził,



Genowefa Klauzer

zrobił takie koromysło i niósł te dzieci. A staruszkowie - pani Rudzińska z Rudzińskim, to szli przez wiele dni. Kiedy my szliśmy, to Rudziński leżał koło takiego dużego mrowiska - martwy. Nie mieliśmy łopaty, żeby go przykryć przynajmniej ziemię. Kiedy przyszliśmy do Pingiszy - ja z Henkiem, chyba też Heniek Pigoń i Alina Onoszko, to powiedzieliśmy o nim. Wtedy ludzie poszli i pogrzebali go tam w lesie. W drodze powrotnej widzieliśmy już tylko świeżą mogiłę.

Po wojnie fińskiej gonili całe grupy Finów. Ja wtedy jeździłam saniami - przywoziłam z innego posiołku mechanika do samochodów, zawsze więc kursowałam tą drogą. Po drodze było pełno trupów tych Finów - jeńców. Zrzucono ich na bok w śnieg i dopiero może wiosną sprzątno. Finowie byli w mundurach, kiedyś nawet nocowali u tej gospodyni, u której myśmy mieszkali. Było ich 7-miu, ale rano jeden nie poniósł się, był martwy. Finów gonili jeszcze dalej, gdzieś do Pieczory. Za nimi jechali Eskimosi z saniami i na postojach dawali im jakich posiłek. Eskimosi wzięli tylko prowiant na reniferach na saniach. Nawet mój brat kiedyś pośzedł do kuchni polowej, chciał ukraść coś do jedzenia, kilka garści kaszy jaglanej, ale został pobity przez wartownika rosyjskiego.